List nr 5

Dom Serca im. św. Matki Teresy
Jarosław Gumienny INDIE
Luty 2020

„Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał – aby wszystko dał wam Ojciec, o cokolwiek Go poprosicie w imię moje" (J 15, 16)

Drodzy Przyjaciele,

minęło 14 miesięcy naszego wspólnego posłannictwa. Z niedowierzaniem i nostalgią spoglądam wstecz. Prawdziwie nadszedł czas podsumowania i powrotu (oczywiście to tylko przymiarki; zakładam, że prawdziwa ewaluacja nastąpi dopiero po nim). I choć trudno jest zamknąć ponad rok dość intensywnego życia misyjnego na kilku stronach maszynopisu, ten rozdział należy jakoś zamknąć. Zanim jednak to nastąpi, pozwólcie proszę, że podzielę się z Wami, już po raz ostatni w tej formie, ułamkiem tutejszej rzeczywistości i kolejną porcją newsów z orientu. Zapraszam do lektury.

Życie we wspólnocie

Jak, mam nadzieje, pamiętacie z pierwszego listu, życie we wspólnocie jest jednym z trzech filarów funkcjonowania Domów Serca. Na pozór wydawać by się mogło, że jest ono czymś w rodzaju chichotu losu. Rzadko bowiem w laickim świecie mamy do czynienia z sytuacja, w której pod jednym dachem mieszkają, z reguły długoterminowo, osoby nie znające się wcześniej, mało tego, różniące się praktycznie wszystkim, począwszy od metryki i pochodzenia. Tym co niweluje szeroko pojęte różnice kulturowe oraz wychodzi naprzeciw ewentualnym zaszłościom historycznym, jest charyzmat Domów Serca. Choć władamy różnymi językami, usłyszeliśmy ten sam głos i to samo wołanie. Wspólnota amortyzuje, kiedy upadasz. Daje też siłę, by zregenerować się po kontakcie z ziemią i powrócić do pionu; nadaje właściwy rytm codzienności i motywuje do dalszego działania. Jednocześnie jest miejscem próby, śmiem twierdzić, każdego wolontariusza i wymagającym egzaminatorem. Nie jest wolna od konfliktów, różnicy zdań czy poglądów. Jest nie tylko szkołą życia misyjnego, ale i kościołem domowym; miejscem, w którym każdy jej członek na nowo odkrywa swoje ja. Dlaczego o tym piszę? A no dlatego, że w ostatnim kwartale ubiegłego roku wspólnota, w której żyje uległa prawdziwemu przepoczwarzeniu. Jej szeregi zasiliło dwóch nowych, 19-letnich wolontariuszy z Włoch i Niemiec, a 24-letni współbrat, który rozpoczął misję mniej więcej w tym samym czasie co ja, podjął decyzję o jej kontunuowaniu w Wiosce Domów Serca – Ogrodzie Miłosierdzie. W taki oto sposób jest nas czworo. Nie muszę chyba pisać, że ta zmiana zasługiwała na miano rewolucyjnej. Z perspektywy czasu stwierdzam, że przez te 10 miesięcy zacementowaliśmy się trochę w swoim gronie. Każda nowa osoba to przecież świeże spojrzenie i dziewiczy ogląd rzeczywistości; coś w rodzaju wezyra orzeźwiającego i pokrzepiającego wspólnotę. To prawdziwy dar. Pogromca rutyny. Jako starszy stażem (i metryką) doświadczyłem dość dynamicznego procesu wdrażania nowych wolontariuszy w znaną mi już całkiem dobrze rzeczywistość. Dane mi było raz jeszcze spojrzeć na Kasimedu i jego mieszkańców oczami

„pierwszaka” oraz pochylić się nad tym, co szokuje i ponownie zachwycić się tym, co być może już spowszedniało. Wielką sztuką jest przecież spoglądać z urokiem np. na warszawską starówkę przechadzając się jej ulicami kilkakrotnie w ciągu dnia, czy dostrzec tragedię osobistą żebrzącego codziennie w tym samym miejscu człowieka. Przyzwyczajenie jest naszą naturą. W perspektywie życia misyjnego ważne jest jednak by nie tracić spojrzenia „pierwszaka”; spojrzenia, za którym wije się wiele pytań. Spojrzenia, na które drugi człowiek nie powinien pozostawać obojętny.

Boże Narodzenie

Grudzień w Kasimedu upłynął pod znakiem kołatania do bramy Domu Serca i dociekania przez najmłodszych naszych przyjaciół, kiedy będzie Boże Narodzenie. Pytanie co najmniej komiczne. Obiektywnie jednak rzecz ujmując nie powinno dziwić (przypomnę, że mieszkamy wśród wyznawców hinduizmu). Kiedy nasi milusińscy posiedli wreszcie tę tajemną wiedzę i zaspokoili swoją ciekawość, przystąpili do działania... Zaczęli okupować bramę naszego domu i otwory okienne oraz wykorzystywać każdą możliwą okazję, żeby wedrzeć się do środka. Ze względów organizacyjnych 24 grudnia nasz dom był zamknięty. Był to czas na przygotowanie dekoracji świątecznej, programu bożonarodzeniowego oraz zakupy i kulinaria. Prawdziwie zwariowany dzień. Wigilii, w naszym polskim rozumieniu, oczywiście nie było. Kolację rozpoczęliśmy późnym wieczorem. Spożyliśmy ja w dość ekspresowym tempie, by zdążyć na pasterkę. Sporym zaskoczeniem była dla mnie tego wieczoru Amuda-akka, jedna z sąsiadek Domu Serca, która wbiegła do naszej kaplicy ze swoim synem Dineshem. Tuliła go w swoich ramionach i prawdziwie łkała. Była zrozpaczona. Dinesh zwijał się z bólu i zanosił się płaczem. Tak się złożyło, że w trakcie tej niespodziewanej wizyty byłem akurat w kaplicy adorować Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Tabernakulum było otwarte, jakby czekało na naszych sąsiadów. Poruszająca scena – matka bezradnie tuląca swoje dziecko pod naszym krzyżem, wpatrująca się bez reszty w połyskujący bielą Najświętszy Sakrament, błagająca o uzdrowienie syna. Co jak co, ale wigilijny wieczór to nie czas na cierpienie. Tak pomyślałem. Boleściwa matka to przecież Golgota, a nie scena z betlejemskiego żłóbka. Prawda jest jednak taka, że Chrystus przyszedł na świat w żłobie, na który już w momencie Jego narodzin padał przecież cień krzyża. Cała chrystologia w jednym zaledwie „momencie”. Ten moment to kilkanaście minut jakie Amuda-akka spędziła w naszej kaplicy. Wtedy wydawało mi się, że wieczność. Siedziałem i w gruncie rzeczy bezsilnie wpatrywałem się w jej cierpienie. Modliła się jak tylko potrafiła, choć tak na prawdę nie poznała jeszcze Jezusa z Nazaretu (jest wyznawczynią hinduizmu). Później udała się do szpitala. Następnego dnia, już w Boże Narodzenie, Dinesh biegał po ulicy tak, jakby wczorajszego wieczora nie było...

Wspólnota Domu Serca im. św. Matki Teresy z Kalkuty i jej przyjaciele (zdjęcie z orszaku świątecznego)

Po dość krótkiej nocy, w bożonarodzeniowy poranek zorganizowaliśmy orszak świąteczny, by oznajmić mieszkańcom naszej dzielnicy

radosną nowinę. Panna Czysta porodziła syna! W orszaku gromadnie wzięli udział najmłodsi podopieczni Domu Serca. Na jej czole podążała Maryja z Dzieciątkiem. Byli też magowie ze wschodu i dwóch(!) świętych Mikołajów wręczających słodkości. Orszak przeszedł krętymi uliczkami okalającymi Dom Serca. Kilkudziesięciominutowy spacer został zwieńczony umieszczeniem Dzieciątka Jezus w naszym skromnym żłobku oraz wspólnym kolędowaniem. Dzieciaki zaśpiewały Malusieńkiemu *„Happy Birthday”.* Był też pokaźnych rozmiarów tort urodzinowy, który rozparcelowaliśmy, co oczywiste, w mgnieniu oka.

Drugim punktem naszego programu bożonarodzeniowego była organizacja obiadu świątecznego dla naszych przyjaciół. Zaprosiliśmy tych, którzy żyją samotnie i dwie zaprzyjaźnione rodziny. W sumie 9 osób. Obiad był nie lada wyzwaniem. Serwowaliśmy bowiem numer jeden wśród tutejszych potraw – *chicken biryani.* Nie ma ona statusu „powszedniej”. Pojawia się na „stołach” tylko w wyjątkowych okazjach, takich jak wesela, urodziny i inne ważne uroczystości. Obiad przygotowała nasza przyjaciółka Mary-amma. Moja wspólnota ograniczyła się do asystowania jej w tym wielkim przedsięwzięciu. Warto wspomnieć, że organizując tego typu przyjęcie najlepiej jest skorzystać z pomocy kulinarnej przyjaciół. W przeciwnym wypadku istniałoby ryzyko nietrafienia w gusta, a co najważniejsze podniebienia zaproszonych gości.

Świąteczny obiad (zgodnie ze zwyczajem posiłek serwowany był na liściu bananowca)

Po obiedzie wyruszyliśmy w bliższe i dalsze zakątki Kasimedu, by – starym już zwyczajem – obdarować naszych przyjaciół skromnymi słodkimi upominkami, które przygotowaliśmy uprzednio w gronie wolontariuszy i podopiecznych Wioski Domów Serca – Ogrodu Miłosierdzia. W bożonarodzeniowy wieczór zorganizowaliśmy również grę terenową dla dzieciaków z dzielnicy, coś w rodzaju naszych podchodów. Po ponad godzinnych poszukiwaniach uczestnicy zabawy zgromadzili się przed domem, żeby zmierzyć się z ukrytą w jego pieleszach skrzynią wypełnioną prezentami. Przygotowaliśmy 45 zestawów, ale zainteresowanych było znacznie więcej. Pozytywnie zaskoczyło mnie tego dnia kilkoro naszych nastoletnich, dorastających już przyjaciół, w szczególności Naresh *vel* Ronaldo (zagorzały fan CR7), Desappam i Surrender. Byli z nami w trakcie orszaku i „zabezpieczali” właściwy przebieg wieczornej gry terenowej. Pilnowali porządku, a co najważniejsze pomogli nam zapanować nad rozentuzjazmowanym tłumem. Zrobili to sami z siebie, zupełnie spontanicznie. Nikt z nas nie prosił ich o to. Po roku spędzonym w tym miejscu dane mi też było po raz pierwszy zobaczyć Ronalda spożywającego posiłek w naszym domu (naszym przyjaciołom, jako wyraz wdzięczności za okazaną pomoc, zaproponowaliśmy *biryani*). Nie byłoby pewnie w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że każdorazowo, ilekroć proszony, odmawiał. Odmawiając dawał jednak cień nadziei – *„następnym razem”.* Cieszę się, że dane mi było dotrwać do tego „następnego”. Ronaldo zaprzecza tutejszej rzeczywistości i wszelkim stereotypom na temat miejsc takich jak Kasimedu. Jest gwiazdą połyskującą nad tym slumsem. Rozsądny i ułożony. Podchodzący do szkoły i edukacji z szacunkiem. Świetnie

posługuje się językiem angielskim i odnosi sukcesy w sporcie. Jest reprezentantem szkolnym w piłce ręcznej, a do tego fanem futbolu i krykieta (ku mojemu zaskoczeniu kibicuje Nowej Zelandii, a nie Indiom). Z całą pewnością jest wzorem i przykładem dla naszych podopiecznych, kimś w rodzaju autorytetu i starszego brata. Kimś, kogo dzieciaki z miejsc takich jak Kasimedu prawdziwie szukają i rzeczywiście potrzebują.

Rajd rowerowy

Dopełnieniem naszego programu świątecznego była wyprawa rowerowa do Wioski Domów Serca – Ogrodu Miłosierdzia, w której świętowaliśmy Nowy Rok. Wzięło w niej udział pięcioro naszych przyjaciół w wieku od 15 do 17 roku życia, w tym m. in. Ronaldo i Desappam. Realizacja tego projektu była możliwa dzięki wsparciu finansowemu jednego z naszych darczyńców. Wspólnie przemierzyliśmy nieco ponad 70 km. Aż milo było patrzeć, jaką troską i atencją darzyli się uczestnicy tego rajdu. *„Jeden drugiego brzemiona noście”* (Ga 6, 2). Jako że na całej trasie podążałem na końcu kolumny, byłem świadkiem wielu aktów miłosierdzia. Dzielenie się wodą, zmiana obuwia, ubrań i rowerów, partycypowanie w przewożeniu uszkodzonego już na początku wyprawy plecaka jednego z uczestników rajdu, wspólne postoje i czekanie na słabszych współtowarzyszy wyprawy... To tylko przykłady. Potrzeba współzawodnictwa, bycia najlepszym i najszybszym została wyparta w tej grupie absolutną wrażliwością i niczym niewymuszoną uważnością na drugiego człowieka. W Ogrodzie Miłosierdzia spędziliśmy w sumie 4 dni. Były gry zespołowe, praca w terenie i odpoczynek. Celem tego projektu była w szczególności ochrona tej dorastającej już młodzieży przed tym co zgubne w Kasimedu – alkohol, rozboje i brak perspektyw na przyszłość.

Niepokojąca nieobecność

Miałem nadzieję, że w Boże Narodzenie odwiedzi nas Ramsami, znany już Wam dobrze staruszek żyjący w porcie. Byłaby to dobra okazja do podzielenia się z nim posiłkiem i przekazania mu materiałów wtórnych, które dla niego zgromadziliśmy. Niestety tym razem nie załomotał do bramy naszego domu... Nie zrobił tez tego po świętach. Ostatnio widziałem go, o ile dobrze pamiętam, na przełomie listopada i grudnia. Od tego czasu minęły już ponad 2 miesiące. Ta nieobecność niepokoi, nawet bardzo, a permanentnie przypomina o niej sterta czekających na niego materiałów. Pytaliśmy o niego w porcie. Ślad po nim zaginął... Pozostaje nadzieja, że wróci jeszcze, że... żyje.

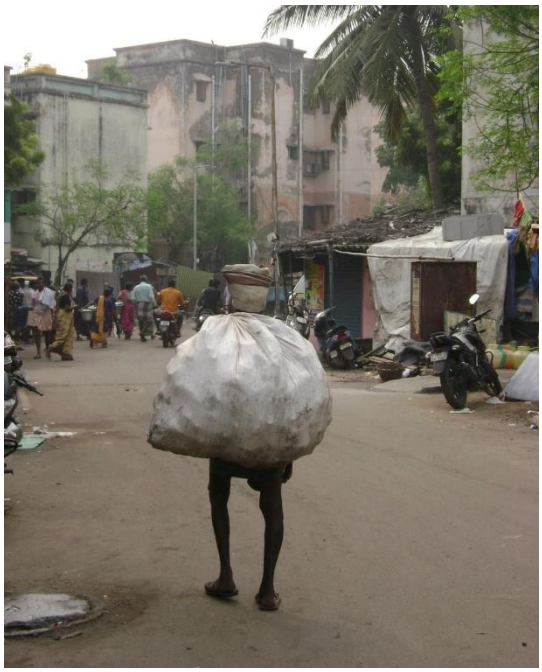

Ramsami

***„Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!”* (J 11, 43)**

Jednym z naszych apostolatów terenowych (zewnętrznych) jest apostolat w szkole specjalnej. Dla mnie osobiście miejsce dość trudne w początkowym okresie tej misji. Dzięki Bogu z czasem udało mi się dostrzec jego magię i piękno. Dyrektorem szkoły jest nasz przyjaciel Łazarz. Imię jakie nosi subtelnie odzwierciedla historię jego życia. Usłyszał on, podobnie zresztą jak biblijny Łazarz, słowa Jezusa –

„Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!” (J 11, 43). Po śmierci niepełnosprawnego dziecka podjął pracę w szkole specjalnej, a następnie założył szkołę dla dzieci, które tej pomocy potrzebowały. Powstał z własnego grobu. Była nim niepełnosprawność dziecka i jego strata. Na jego fundamencie zbudował piękne dzieło, dające szczęście kilkudziesięciu podopiecznym i ich rodzinom. Możliwość uczestnictwa w organizowanych ostatnio w murach tej skromnej szkoły (poprzednio mieścił się tu Dom Serca) imprezach okolicznościowych, takich jak dzień dziecka, jasełka bożonarodzeniowe czy *Pongal* (odpowiednik naszych dożynek), była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Aż miło było patrzeć, z jakim zaangażowaniem niepełnosprawni podopieczni śpiewają, tańczą, recytują wiersze, przygotowują odświętne stroje i dekoracje okolicznościowe. Nie robiły przecież tego dla siebie. Całość przygotowały z myślą o drugim człowieku.

***„Proście, a będzie Wam dane”* (Mt 7, 7)**

W ostatnim liście pisałem Wam o głodzie niesienia skonkretyzowanej pomocy. Od tego czasu pojawiło się kilka okazji odpowiadających na to pragnienie. Jednym z miejsc, które odwiedzamy systematycznie są bungalowy (potocznie nazywamy je tu „chatami”). To nic innego jak prowizoryczne szałasy budowane i pokryte czym tylko się da. W tych prostych domach swoje życie wiodą osoby chore, starsze i rodziny z dziećmi. Jako że zlokalizowane są tuż przy porcie, w niewielkiej odległości od naszego domu, dane mi było dość dobrze poznać strukturę tego osiedla. Na jego terenie żyje kobieta z zespołem AIDS, którą poznaliście w jednym z wcześniejszych listów. Powróciła do sił. Jest w bardzo dobrej kondycji, do tego stopnia, że zaczęła zabiegać o pomoc dla swoich sąsiadów. W taki oto sposób udało się pojechać do szpitala ze skarżącą się na bóle kończyn dolnych Periharani-akka oraz towarzyszyć jej w serii zabiegów fizjoterapeutycznych. Kolejnym przykładem jest Desappam-appa. Zwracałem się do niego *per „tata”* (czyli po tamilsku „dziadku”), a tymczasem w szpitalu okazało się, że ma raptem 58 lat. Jest bardzo spracowany. Trzy lata temu stracił oko, a teraz zmaga się z poważną infekcją drugiego, co praktycznie uniemożliwia mu widzenie (dostrzega co najwyżej światło). W jego przypadku wskazana jest niezwłoczna hospitalizacja w klinice okulistycznej. Ta infekcja jest oczywiście konsekwencją warunków, w jakich żyje. Rodzina, mimo deklarowanych chęci, nie była w stanie samodzielnie zagwarantować mu opieki i zabrać go na konsultacje. Postanowiliśmy im towarzyszyć. Próbowaliśmy dwukrotnie. Mimo ustalonego terminu padało stwierdzenie *„tak, oczywiście, bardzo chętnie”,* ale... *„jutro”.* Koniec końców zabraliśmy go samodzielnie. Zaordynowano mu leki, które powinien przyjmować ze ściśle określoną częstotliwością. Wszystko byłoby OK, gdyby nie to, że ten człowiek nie ma możliwości przyjmowania ich systematycznie. Nie mam oczywiście pewności, ale przypuszczam, że tak właśnie jest. Czuję w tym przypadku poczucie bezsensu. Niby udało się nam ruszyć z miejsca, ale utknęliśmy w martwym punkcie. Bez pomocy jego rodziny nie uda się przywrócić mu wzroku, a infekcja będzie się pogłębiać. Poza tym, aby możliwa była hospitalizacja Desappam-appa wymaga opiekuna – „stróża”, który będzie na miejscu sprawował nad nim opiekę. Po stronie rodziny ponownie obserwuję co najwyżej deklaracje. Konkretnych działań, póki co brak...

Kolejnym przykładem odpowiadającym na wspomniany już głód jest około 10-letni Abinesh. Moi współbracia pomogli zorganizować dla niego pomoc medyczną. Trafił do szpitala bardzo osłabiony. Właściwie do końca nie było wiadomo, co mu dolega, padło podejrzenie gruźlicy. W szpitalu spędził miesiąc. Dzięki Bogu historia zakończyła się *happy-endem.* Wrócił już do domu i tak jak wcześniej biega po ulicach Kasimedu. Jego rodzice żyją w separacji. Ojciec jest niepełnosprawny. Porusza się na wózku trójkołowym z napędem ręcznym, co gwarantuje mu samowystarczalność. Udaje się, gdzie i kiedy chce. Nie jest dla mnie tajemnicą, że bardzo kocha swoje dzieci (oprócz Abinesha ma jeszcze czwórkę; jedno

z nich stracił kilka lat temu). Nie było też dla mnie zaskoczeniem, kiedy spotkałem go w szpitalu. Niby nic nadzwyczajnego. Ot, odwiedziny dziecka, rodzicielski przywilej i obowiązek. To tylko pozory. Żeby to zrobić, musiał pokonać na wózko-rowerze spory dystans (nie wiem dokładnie jaki, ale ja musiałem dwukrotnie zmieniać środek lokomocji, w tym przemierzyć pociągiem trzy stacje miejskie w Chennai). Zajęło mu to 2 godziny. Widok zdrowiejącego jeszcze wówczas Abinesha i siedzących przy nim rozpromienionych, pełnych wdzięczności za nasze odwiedziny rodziców Abinesha, na długo pozostanie w mojej pamięci.

Słowem podsumowania

Każdy dzień to swego rodzaju poligon wojskowy, pole walki, na którym staczasz bitwę między samym sobą, swoim własnym ja i swoimi ograniczeniami, a drugim człowiekiem i potrzebą wyjścia do niego. Odkrywasz, że przyrzeczenie, które złożyłeś w trakcie mszy posłania, wcale nie było aktem jednorazowym. Jest swego rodzaju kręgosłupem, który podpiera cię w trakcie tej misji. Stając przed Najświętszym Sakramentem w swojej domowej kaplicy, rozpoczynając każdy nowy dzień, słyszysz bowiem te same pytania – czy zgadzasz się żyć w miejscu, do którego Cię posłałem? Czy podtrzymujesz chęć służenia drugiemu człowiekowi, życia wśród ubogich i we wspólnocie, którą dla ciebie wybrałem? Uświadamiasz sobie, że tu nie ma przypadków, i że nic na siłę. Każdego dnia otrzymujesz nową szansę bycia bliżej drugiego człowieka, bliżej samego Boga. Twoim zadaniem jest co najwyżej chcieć, co najwyżej pragnąć. Czyż jednym z ostatnich słów Jezusa wypowiedzianych na drzewie krzyża nie było „pragnę”? (mówił przy tym o pragnieniu miłości, a nie wody). Tylko tyle i aż tyle. Z reguły otrzymujesz więcej niż dałeś z siebie danego dnia. Z reguły rzeczywistość przekracza twoje najśmielsze oczekiwania. Z reguły kończysz dzień onieśmielony Bożą pedagogiką. Myślisz sobie – gdybym skręcił w lewo, gdybym wyszedł z domu kilka minut później... gdybym, gdybym, gdybym... Twój dzień wyglądałby zupełnie inaczej. Prawdą jest, że codziennie opuszczasz dom z konkretnym planem i misją konkretnego działania – apostolaty, zakupy itd. Decydujesz się odwiedzić akurat tę, a nie inną część dzielnicy, tych a nie innych przyjaciół. Zazwyczaj bywa tak, że życie pisze inny, zaskakujący scenariusz. Spotykasz grupkę dzieci na ulicy, ktoś chwyta Cię za rękę i niespodziewanie zaprasza do swojego domu albo rozpaczliwie prosi o modlitwę. Ot, życie! Piękne w tej działalności jest to, że nie dajesz się zniewolić dziennemu harmonogramowi, którego jesteś przecież współautorem, że nie popadasz w znaną doskonale, szczególnie w życiu korporacyjnym, manierę skrupulatnego rozliczania się z zamierzonego planu. Jesteś otwarty na to, co przyniesie ci dany dzień; jesteś otwarty na tych, którzy pojawią się na twojej drodze. Wychodzisz z założenia, że za rogiem stoją właśnie anioł z Bogiem. Poznajesz coraz bardziej i bardziej samego siebie. Odkrywasz, że nie jesteś idealny, że daleko ci do perfekcji. Odkrywasz swoje słabości. Odkrywasz, że jesteś tylko człowiekiem. I dobrze. Dzięki temu stajesz na równi z tymi, pośród których przyszło ci żyć. Nie nosisz w sobie patosu i poczucia bycia lepszym. Jesteś zupełnie taki sam, jak oni. To co was dzieli to co najwyżej otoczka, wszystko to co powierzchowne i oku miłe. To, co przemija, co w gruncie rzeczy nie należy do ciebie. Czyż Hiob utraciwszy swoje bogactwa nie rzekł *„Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam wrócę”* (Hb 1, 21)? Ba, odkrywasz, że jesteś uboższy, niż ci do których zostałeś posłany. Uboższy o język, którego nie opanowałeś; uboższy o kulturę, która w dalszym ciągu cię zaskakuje i tak naprawdę nigdy nie będzie twoją, wreszcie uboższy o doświadczenie bycia tamilem z krwi i kości. Mimo wszystko odkrywasz, że jesteś akceptowany i kochany. Że twoi przyjaciele pragną twojej obecności, a tego pragnienia w gruncie rzeczy nigdy nie będziesz w stanie zaspokoić, bo pojawiasz się może zbyt rzadko, albo zbyt krótko dzielisz z nimi swój czas. Uczysz się też przyjmować, przede wszystkim przyjmować! Stajesz się wreszcie wujkiem dla tysiąca dzieci. Gdzie tylko się pojawiasz słyszysz magiczne zaklęcie *„uncle”.* I nie ma znaczenia, że np. spotykasz to dziecko pierwszy raz

w swoim życiu albo nie pamiętasz jego imienia. Jesteś wujkiem i już. To wystarczy, by powitać cię szczerym uśmiechem, rzucić ci się na plecy lub w ramiona, i zacząć żartować. Radość jest wysoce zaraźliwa. Szerzy się drogą kontaktów bezpośrednich, stąd tak ważne jest emanowanie nią, szczególnie wtedy, kiedy żyje się w slumsie. Tych kilkanaście powyższych zdań to nic innego jak streszczenie, a raczej próba podsumowania, 14 ostatnich miesięcy mojego życia i Waszej misji. Tak właśnie było. Takie właśnie są Domy Serca i ich charyzmat. Tak smakuje prosta miłość i taka jest jej potęga.

Dziewczynka z sąsiedztwa

Drodzy Przyjaciele,
tak jak już wspominałem na początku tego listu, czas powrotu zbliża się wielkimi krokami (1 marca). Ten list to doskonała okazja, by podziękować Wam raz jeszcze za okazaną pomoc, dobre słowo, modlitwę, cierpliwość (szczególnie w lekturze „listów z misji") i wsparcie materialne. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że TO BYŁA WASZA MISJA! Dziękuję, że byliście tu ze mną, że zapragnęliście pocieszenia tych, którzy na nie czekali. Nie da się opisać i wyrazić słowami wdzięczności, jakiej doświadczyłem ze strony naszych przyjaciół, wdzięczności podyktowanej czasem błahymi gestami i prostą obecnością. Nie da się opisać smaku łez szczęścia i ludzkiego wzruszenia... Te emocje nie należą do mnie. To Wy jesteście ich adresatami. Przyjmijcie je, proszę.

Oczywiście misja sama w sobie nie była idealna. Bywało i dobrze, i niedobrze, ale z Bożą pomocą tę sztafetę udało się ukończyć (por. 2Tym 4,7). Tutejsza rzeczywistość bardzo mnie zaskoczyła. Wiedziałem, że wybieram prosty styl życia, ale do końca nie zdawałem sobie chyba sprawy, że przymiotnik „prostoty" jest stopniowalny. Nie sądziłem, że przyjdzie mi np. walczyć z woda i o wodę (o wodę toczyłem batalie w porze suchej, natomiast z wodą walczyłem podczas monsunu, który permanentnie zalewał nasz dom). Po kilku miesiącach spędzonych tutaj doszedłem wreszcie do wniosku, że wiem już jak wygląda życie w slumsie. Co się okazało? Musiałem udać się do Kalkuty, miasta, bez którego nie byłoby dzisiaj świętej Matki Teresy i Misjonarek

Miłości, żeby przekonać się, że tak naprawdę to nic nie wiem (do Kalkuty udałem się z prywatną wizytą. Potraktowałem ją jako obowiązkową. Dom, w którym mieszkam, nosi przecież Jej imię, a jego dach kryją relikwie Świętej). Bieda i ubóstwo materialne mogą zejść (i rzeczywiście schodzą) znacznie niżej niż mi się wydawało. Od tego momentu kalkucki slums jest dla mnie obrazem piekła. Mimo wszystko, mimo przeżytych trudności i swojego „nie wiem", czuję się szczęśliwy. Powtórzę za Maryją – *„Wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny"* (por. ŁK 1, 49).

Bóg zapłać za wszystko! Pamiętam w modlitwie i z Bożą pomocą pamiętać będę.

Do zobaczenia,
Jarek
(ewentualną korespondencję proszę kierować na maila: jarek211@poczta.fm)

P.S. – w dniu zamknięcia tego listu córka Desappam-appy zadeklarowała, że pojedzie z nim jutro (znowu „jutro") do szpitala. Ustaliliśmy również, że Ramsami miał najprawdopodobniej wypadek i przebywa w szpitalu. Czy uda się nam go odnaleźć, czas pokaże.